Nr. 24.

Warszawa, dnia 31 Maja (12 Czerwca) 1872 roku.

ROK VIII.

Cena prenumeraty:

W Warszawie:
rocznie rs. 3 kop.—
półrocznie „ 1 „ 50
kwartalnie „ 75
miesięcznie — „ 25

Na prowincyi.
rocznie rs. 4 kop. 80
półrocznie „ 2 „ 40

# OPIEKUN DOMOWY.

## PISMO TYGODNIOWE

sprawom wychowania, rzeczom społecznym, nauce, literaturze i sztuce poświęcone.

Seryja trzecia.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa

Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w księgarni G. Centnerszwera ul. Marszałkowska Nr. 73; w *Poznaniu* u Leitgebera; we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.

Biuro Redakcyi: w Warszawie, ulica Nowy Swiat Nr. 30 (nowy).



## NAD GROBEM STANISŁAWA MONIUSZKI [1]).

Skonał — grając na lirze.

Tak jest żałobni słuchacze, nasz lirnik pożegnał nas na zawsze. Wieść co w pierwszej chwili zdawała się być snem męczącym, jest rzeczywistością. I oto zgromadziliśmy się na miejscu wiecznego spoczynku, by oddać ostatnią posługę temu, do kogo przyrosły serca nasze. — Mamże mówić kim był, co i kiedy uczynił i czem się zasłużył? Pod sklepieniami świątyń naszych, w przybytkach sztuki, na wytwornych salonach, pod strzechą skromnego dworku i na poddaszu — wszędzie znajdziecie odpowiedź. Odpowiedzią są te tłumy rozżalone i łkające— wiedzą one kogo tracą i z kim się żegnają. — To był mąż co niezakopał „talentu swego”. On to myśli wieszczów naszych zaklął w czarownych dźwięków siłę — on pieśnią swojską, zrozumiałą, a wielką, przemawiał do wszystkich serc, co czuć umieją. Świętego ognia i zapału nie roztrwaniał niegodnie, złożył go na poświęconym ołtarzu.

Nie do mnie należy rozbiór artystycznej działalności zmarłego i nie tu miejsce by wyliczać płody jego twórczego ducha; to tylko wiem, a bardziej jeszcze — to czuję, że „nić tajemna kojarząca duszę pieśniarza z duszami słuchaczów” brała początek we wspólnym ich nastroju.

Moniuszko był przedewszystkiem ludowym śpiewakiem. Kiedy pomimo Dobrzyńskiego i Szopena melomani nasi niewolniczo hołdowali zagranicznym wzorom, on pierwszy zwrócił muzykę do właściwego jej źródła — do ludowej nuty. Czy w smętnej litewskiej pieśni, czy w tęsknej ukraińskiej dumce, w rytmie krakowiaka, mazura, albo też dzikiej góralskiej piosenki, — wszędzie brzmi ta nuta serdeczna i rzewna, swojska i ukochana. Nawet w Świątyni Pana Zastępów, Moniuszko nie modli się obcemi tony, on czci Boga dźwiękami własnej z serca płynącej pieśni. I w tem właśnie najwyższa jego zasługa. On czuł, że pieśń ta, to „arka przymierza między dawnemi i nowemi laty”. A jednak był czas gdy z ciężkim trudem wyprawiał na świat pierwsze płody swej myśli. Czciciele obcych bogów nie uznawali swojego proroka. W Wilnie, gdzie publikował pierwsze swe utwory, w gronie krytyków przyjmowano je chłodno, lecz tym goręcej przyjmowały je massy. Bo też uznania — mistrz szukał tylko między ludźmi serca. Nie poniewierał talentu na zachcianki zepsucia. Sztuka była mu kapłaństwem. I dlatego droga jego była stroma, ale wiodła wysoko. Bo przyszła i na niego chwila uznania. Po roku 1850, a głównie od czasu osiedlenia się w Warszawie, sława Moniuszki zaczęła się rozchodzić szeroko, szeroko... Opery wystawione na naszej scenie przyjmowane były z entuzyjazmem.

Publiczność była dumną ze swego rodaka, więcéj nadto, publiczność kochała go jak brata, jak ojca, jak wcielenie prawdy i piękna. Pamiętamy jak nieraz gdy czarownemi tony o silniejsze potrącił uczucie, sala drżała od oklasków. Bez różnicy wieku i stanu wpadaliśmy w zachwycenie—ze wzruszeniem—z biciem serca spoglądając na mistrza mówiliśmy „to on—to on,“—a ile w tem jednem słowie mieściło się uczucia, ten tylko zrozumieć potrafi, kto jeszcze nie wyziębił w sobie serca i czuje tętno szlachetnych jego porywów.

Moniuszko odbierał hołdy,. ale jest to tylko jedna strona obrazu. Gdybyśmy spojrzeli za kulisy publicznego zawodu, zobaczylibyśmy jak często po ciernistéj stąpać musiał drodze. Wśród trosk i kłopotów codziennego żywota, zmarły pogodne miał czoło. Sztuka którą ukochał, goiła mu rany, rodzina słodziła życie — dobro ogólne zachęcało do pracy i wytrwania. Dobro ogólne, miłość powszechna—tak—to były prządki żywota ś. p. Stanisława. Ileż to razy, mimo licznych krępujących go obowiązków, poświęcał nadmierną swą pracę na cele dobroczynne. Kto urządzał koncerta na studentów, ubogich, kolegów? Wszędzie i zawsze spotykaliśmy jedno nazwisko: Moniuszko. Młodzież Uniwersytecka zyskiwała przez niego znaczne fundusze i nie jeden zawdzięczy przyszłe swe stanowisko pracy i dobréj woli zmarłego. A z młodzieży rośnie pożytek dla społeczeństwa i kraju. Jéj też imieniem chcieliśmy przypomnieć, że społeczeństwo nasze jest zadłużone względem zmarłego:—zadłużone nie tylko moralnie, ale i materyjalnie. Dziś pora spłacać te długi. Po zmarłym została rodzina, to ołtarz nasze-

[1]) Mowa ta miała być wypowiedzianą w dzień pogrzebu, nad grobem.

## ŚLADY ŻYCIA.

### X.

Tyle życia, ile w czynie.....

W zeszły piątek d. 7 b. m. odprowadziliśmy na miejsce wiecznego spoczynku zwłoki Stanisława Moniuszki. Pomimo upału, pomimo niedogodnej południowej pory—już od 10 godziny rano—Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście, jak daleko wzrokiem zasięgnąć było można ze schodów Sto-Krzyskiego kościoła przepełniał niezliczony tłum ludu wszystkich stanów i wyznań—i rozlegał się cichy szmer żałoby. Szczegóły tej bolesnej ale zarazem wzniosłej uroczystości podały już pisma codzienne—my ze swej strony dodamy jednę myśl tylko—myśl która nam była pociechą w żałobie, gdyśmy patrzyli na olbrzymi pochód pogrzebowego orszaku: duch który ożywiał wielkiego pieśniarza, żyje w tych tłumach...

* * *

Możemy donieść naszym czytelnikom o nowem przedsięwzięciu wydawniczem na wielką skalę. Wiadomo że od lat kilku pisma nasze zaczęły odbijać umysłowy ruch zachodu na polu nauk i filozofii. Coraz częściej ukazywały się rozprawy i rozprawki o Darwinizmie, o kwestyjach psychologicznych i fizyjologicznych, o idealizmie, materyjalizmie i pozytywizmie—wyszło nawet kilka dziełek w powyższych materyjach—ożywiły się rozprawy polemiczne—nawet w odczytach publicznych potrącano o kwestyje sporne. Ogół publiczności dowiódł wielokrotnie, że go walka idei zajmuje, że w ścieraniu się filozoficznych kierunków, radby znaleść dla siebie słowo ożywczéj prawdy, praktycznéj nauki życia. Jednakże w całym tym postępie, z którego cieszyć się wypada—niepodobna niedopatrzeć jednéj zasadniczo ujemnéj strony. Większość naszych domorosłych filozofów wygłasza swe zdania o nowszych pracach w zakresie realistycznego kierunku, na podstawie zasłyszanych ubocznie zdań i uwag —nieznając ani oryginałów ani umiejętnych racyjonalnie krytycznych sprawozdań—dla tej prostéj przyczyny że ich prawie zupełnie niemamy. Przed kilku miesiącami jeden z członków obecnej naszej Redakcyi powziął myśl zapełnienia tego braku w naukowem piśmiennictwie naszem. Bezzwłocznie też przystąpiono do zebrania odpowiednich sił i do ułożenia programu. Wydawnictwo nosić będzie tytuł: *„Biblijoteka filozofii pozytywnej”*. Nazwa ta winna być jednak należycie pojętą. Niebędzie to bowiem wprost kopija dzieł zagranicznych autorów. Przeciwnie chodzi tu o porównawczo-krytyczne przedstawienie obrazu całej szkoły. Dzieła najznakomitszych pozytywistów a mianowicie: *Logika* Milla, *Bijologia* Spencera, *Zmysły i rozum*, *Uczucia i Wola* Bain'a, *O inteligencyi* Tain'a etc. etc. będą tłumaczone dosłownie lub też streszczane dla uniknienia powtarzań - ale jednocześnie każde z nich będzie uzupełniane licznemi przypisami na podstawie prac innych autorów i opatrzone oryginalnemi krytycznemi uwagami. Tomik wstępny będzie miał na celu określenie i krytykę pojęcia pozytywizmu obok oceny historycznego stanowiska pozytywnej metody w filozofii. Wydawnictwo o którem mówimy, wychodzić będzie jako dodatek wyłącznie dla prenumeratów: Niwy i Opiekuna Domowego.

* *

go obowiązku — to co tam złożymy, to nie ofiara—to dług święty, którego niespłacenie wołałoby o pomstę do Nieba! Człowiek co nas karmił promieniami swéj myśli, co nam dawał krew swoję i łzy swoje—człowiek ten rodzinie zostawił w spuściznie jedynie imię zacne i sławne od morza do morza. Brama twardych życiowych warunków, stoi otworem przed tą rodziną. Zmarły naszéj ją oddał opiece. Pamiętajmy o tem, by nie powiedziano, żeśmy niegodni naszych proroków.

Zmarłemu postawim mogiłę, jeśli nie z alabastrów i bronzu, to za to ze czci i miłości, co przetrwa od wieku do wieku. Przejdą mnogie lata—pamięć Moniuszki nie zaginie, rozrośnie się jego sława po świecie—i przyjdą ludzie dalecy ze wschodu i zachodu i pytać się będą: gdzie leży mistrz, co na waszej grał lutni? Wtedy przyszłe pokolenie zaprowadzi ich na to miejsce, i powie z dumą na czole i ze łzą w oku:

„Tu nasz lirnik spoczywa,
Skonał, grając na lirze."

Niech mu lekką będzie ziemia, którą tak gorąco ukochał!... *J. M. Kamiński.*

# Z MELODYJ BIBLIJNYCH
Kornela Ujejskiego.

## OSTATNIE GŁOSY SODOMY.

Tedy Pan dżdżył na Sodomę
i Gomorę siarką i ogniem
od Pana z nieba.
*Genesis Roz. XIX.*

### Głos pierwszy.

Na Boga! gdzie droga do miejskich, do bram,
Przedemną, nademną tu ognie i tam,
Z iskrami we włosach,
Po trupach, po stosach,
Ja lecę szalony w grób!

Wiatr szumi, a tłumi mój oddech ten szum,
Żar pryska, a ściska, nie puszcza mnie tłum,
Hej, z drogi! kto żyje,
Bo nożem przebiję,
Daremnie... oh! padam... trup!

### Głos drugi.

To do dnia pochodnia roznieca się już,
Na głowy ogniowy spadł wieniec nam z róż,
Ty drzysz mi na ręku?
O luba! bez lęku
Czekajmy w pieszczocie snu.

W połysku, w uścisku opadą mi skroń,
Dym mroczy!—gdzie oczy, twe usta, twa dłoń,
Tam lawy wrą deszcze
O luba! raz jeszcze
Pocałuj—bo konam—tchu!!

### Głos trzeci.

Ja młoda! o! szkoda urody i lat,
Bez życia, użycia odlatam mój świat,
O Boże mój, Boże!
Przed tobą w pokorze
Zanurzam twarz moją w proch.

Gniew boży tak sroży za jeden nasz błąd,
Hej ludzie! kto w cudzie wyniesie mnie stąd,
Kto wezmie na ręce,
Ja temu poświęcę
Mą młodość... ha! pali... och!

### Głos czwarty.

Morderca bez serca wytępia swój ród,
I z nieba miast chleba śle ogień i głód,
Chce zniszczyć potopem,
To siarki ukropem,
Przez siebie wszczepiony grzech.

Choć skryła mogiła mnie węgli i siark,
Nie ścielę w popiele przed tobą mój kark,
Lecz w twoje otchłanie
Jehowo-szatanie
Wyrzucam przedśmiertny—śmiech!

### Głos piąty.

Ogrody! gdzie młody bujałem śród drzew,
Gdzie głosno miłośno brzmiał dziewic mych śpiew,
Nie ujrzę was więcéj!
I śpiewy dziewczęce
Ogłuchły przy ryku burz.

Nim zginę obwinę się płaszczem—ja król!
Dziewczęta, chłopięta, przytłumcie wasz ból,
Tu do mnie, tu do mnie,
Rozkosznie, przytomnie,
Obsypcie mnie liściem róż.

Na łona ramiona zarzucam jak wąż,
Hej czary, puchary! hej harfy nawiąż!
Skry lecą—dym krztusi,
Kto ogień przydusi
Dostanie méj ziemi.... ćwierć!

Popiołem padł kołem tłum wierny mych sług,
I wyżéj i chyżéj żar czepia się nóg,
Na pomoc! ha, płonę!
Zerwijcie koronę
Co pali skroń moją.... Śmierć!!

### Głos Lota.

Spokojny śród wojny wprzód kroczę jak w śnie,
Choć płomień swój promień ku drodze méj gnie,
To żądło płomienia,
Od mego odzienia,
Sykając ucieka wstecz.

Gdzie zwrócę, a rzucę zaklęcie mych słów,
Blask zmierzcha—i pierzcha tam bladych sto głów,
Gdzie spojrzy me oko,
To dymy się wloką,
Daleko odemnie precz.

Przewodnią pochodnią jest dla mnie ten gród,
Dla wiary bez miary wypełnia się cud,
Kto bożym wybrańcem,
Za cnoty swéj szańcem
Bezpiecznie ma w ogniu iść.

Straszliwy a mściwy Jehowy jest sąd,
Dla złego gniew jego oh! sroższy niż trąd.
Choć złość się rozwinie,
To marnie zaginie
Jak zwiędły w jesieni liść.

# DRUGA MIŁOŚĆ
POWIEŚĆ
JULII KAVANAGH.
## Tom II.
*(Dalszy ciąg).*

— Pani de Loinville otrzymała list bezimienny dziś rano, i wszyscy pewno już go czytali; wyjdź i pilnuj żeby Dermot tu nie przyszedł.

Blada jak śmierć wstała Sybilla i poszła do ogrodu; wiedziała że tędy będzie wracał—modląc się zarazem o to, żeby nie przyszedł. Ale inaczej być miało. Zwolna ze spuszczonemi oczami i z założonemi rękami szedł ku niej.

— Może mi się uda oszukać go—pomyślała Sybilla—i odprowadzić gdzieindziej.

Czytamy w *Kaliszaninie:* „Do pracy, rzemiosł, handlu, przemysłu! dzień po dniu niemal powtarzają wszystkie pisma. Jakżeby to warto było wziąść szczerze do umysłu i serca i zabrać się do energicznego wprowadzenia w życie téj rady! Na każdym niemal kroku, w każdéj gałęzi tego rodzaju, widać u nas zacofanie niedołęztwo dziecięce, a co gorsza niedbalstwo. Zrozumieć winniśmy, że dobrobyt materjalny, a stąd i pewne osłodzenie sobie trosk życia, leży w pracy, oszczędności i w środkach, jakie właśnie rzemiosła, handel i przemysł udzielają. Przy bogactwie ku temu środków przyrodzonych i warunkach miejscowych, skarby te dla nas leżą odłogiem; my depcząc po nich, widzieć ich i schylić się po nie nie chcemy. Za to obcy germańscy przybysze, widzą te skarby zdala, zlatują się do nas chmarami, wyzyskują, wyczerpują i bogacą się, nie powiedziawszy nawet „Bóg zapłać." Nasz handel i przemysł w ich przeważnie spoczywają rękach; oni się u nas i z nas bogacą i panoszą, a myśmy u siebie i z własnéj winy ubodzy. Gdybyśmy siebie samych i społeczeństwa nie zawodzili połówkami; gdybyśmy ucząc się czegoś nauczyli się dokładnie, wykonywając coś, wykonali należycie; gdybyśmy się już raz, a czas wielki po temu, pozbyli spleśniałéj i trupem cuchnącéj manii odgrywania roli panków brzydzących się rzemiosłami, przemysłem i handlem, a nie brzydzących się ciemnéj zastałości, poniżającego niedbalstwa i lenistwa, nie bylibyśmy u tych przybyszów w arendzie, i to, co oni z nas biorą, zostałoby przy nas, bo i my mamy głowy i ręce, mamy z łaski Bożéj odpowiednie do podobnych zajęć zdolności, więc byśmy dowiedli, że nie „święci tylko garnki lepią." Zbywa nam wprawdzie na przebiegłości, ale tę nietylko zastąpić i zrównoważyć, ale nawet przewyższyć można wysoką i dokładną znajomością zajęcia, jakiego wykonywaniu ktoś się poświęci z sumiennością i zamiłowaniem.

Ani zgadniesz szanowny czytelniku co nas naprowadziło na wypowiedzenie tego komplementu; ani zgadniesz—o zakład; oto fraszka, oto drobnostka, za którą jak i za tyle innych rzeczy płacimy obcym, mogąc to samo mieć u siebie z własnéj pracy i za własne mniéj drogie pieniądze. Oto..... cebule nasunęły nam wygłoszenie powyższego kazania, bo czyż to nie wstyd, czy to nie lenistwo, aby przy tylu ogrodach, przy takiéj ziemi dobroczynnéj, białe cebule, kalafjory i inne włoszczyzny sprowadzać tu od niemców i im płacić pieniądze?! A naprawdę, szukaj, a na lekarstwo nie znajdziesz tu swojskiéj np. białéj cebuli, tylko szarą. Czyżby to nie można było sprowadzić ziarn, flanc i t. p. ulepszonych gatunków i te hodować u siebie? Jak się ma z taką fraszką jak cebula, tak się ma z wielu, z wielu i bardzo wielu gałęziami przemysłu, z którego korzyści oddajemy obcym, a sami nie tykamy się i nic nie przedsiębierzemy do ich osiągnięcia. Gwoździe nawet, zamki, kluczki, zawiasy, okucia etc. sprowadzane są od obcych. Horrendum! Do pracy więc, do rzemiosł, przemysłu i handlu! a nie będziemy utyskiwać na biedę i nędzę, która strawiła już i trawi nie jedno mogące być pożytecznem, ale niestety leniwe, opuszczone i ospałe życie."

* * *

Czytamy w „*Kaliszaninie*:" „Gazeta Warszawska z dnia 14 maja r. b. w ciekawej korrespondencyi z Berlina donosi o wysiłkach germanizmu celem zduszenia rozwijającego się silnie elementu słowiańskiego w Prusach zachodnich, Wielkiem-księstwie-Poznańskiem i Górnym-Szlązku. W tym celu używają się rozmaite środki, urządza prawdziwa propaganda. Pan Bismarck niedawno oświadczył, iż nie podobna pogodzić dobrodziejstw cywilizacyi niemieckiéj, z istnieniem słowiańskiego w tychże prowincyjach żywiołu. Faktem jest, iż żywioł słowiański w Prusach skazany jest na zatracenie i że zaginie, jeżeli nie będzie się odzna-

Wypogodziła twarz jak mogła i wyszła naprzeciw niego.

— Gdzież to mój małżonek cały poranek spędził? zapytała wesoło.

— Interesa, Sybillo—odpowiedział.

I dobrze poszły?

— Dobrze—mam teraz w ręku dowód winy tej kobiety. Niech mnie szkaluje, jeżeli śmie.

— Gdyby wiedział! — pomyślała Sybilla z trwogą w sercu, ale w głos zapytała: — I jakże sobie teraz postąpisz?

— Pokażę jej dowód. Niechcę i nie powinienem na teraz posuwać się dalej. Zdaje mi się, że ojciec ma zamiar wyjechać w tych dniach. Będziemy więc mogli nareszcie żyć spokojnie w Saint-Vincent.

— Ale — jeżeli się to później rozejdzie? — szepnęła Sybilla.

— Nie rozejdzie się. Alvonagh jest mieścina, której nawet na mappach nie pomieszczają. O ile mi wiadomo o śmierci tego biedaka nie pisały żadne angielskie gazety. Nie miał nigdzie krewnych, ani przyjaciół. Był to rodzaj awanturnika, zakończył smutny żywot, i nikt się nie będzie o niego pytał.

— Ale gdyby ktoś naprzykład tak jak ona probował mącić wodę?

Spojrzał na nią z spokojnym, pełnym inteligencyi uśmiechem.

— Obraziłem prokuratora, był więc przeciwko mnie w tej smutnej sprawie, ale umarł potem, nie mam więc co obawiać się go. Obraziłem panią Kennedy tem, że się zakochałem w tobie, ale mam ją tu—dodał, uderzając się po kieszeni—musi być potulna jak dziecko! Zdaje mi się, moja najdroższa Sybillo, że nie mam już więcej nieprzyjaciół; nigdy bowiem z umysłu nie krzywdzę żadnej ludzkiej istoty. Któż więc byłby tak podły iżby odgrzewał nikczemną potwarz? Wierz mi, że nikt. Ludzie bez celu i pożytku nie robią okrucieństwa. Zreszta każdy wie o tem iż zaszkodzenie komu, pociąga także za sobą pewne niebezpieczeństwo. Nie—rzekł z uśmiechem, spadł mi ciężar z piersi i nie myślę troskać się na nowo. Chcę być szczęśliwym tu z tobą, Sybillo.

Zniknęły chmury z jego twarzy, a zwątpienie z oczu i z uśmiechu. Żywy jego temperament opanował niebezpieczeństwo położenia i obawy przyszłości, zamknął oczy na jedno i drugie, widział tylko że jest panem w Saint Vincent i małżonkiem pięknéj kobiety. Wargi Sybilli drgały nerwowo.

— Serce mu pęknie! — Żeby go tylko tu zatrzymać. Nie wydało się to tak trudnem. Ciężar spadł z piersi Dermota, więc otworzył miejsce dla innych uczuć. Zdawał się bardzo zakochany w młodéj swojéj żonie i chętny do pozostania w cieniu starego ogrodu. A Sybilla była taką, jak nigdy do tego czasu. Dotąd raczéj zdradzała swoje uczucie niż je okazywała, teraz dawała mu bieg swobodny, miarkując je tylko wesołą, milutką kokieteryją, która go w zachwyt wprawiała. Nie była to już dawniejsza Sybilla, raz lękliwa jak czternastoletnie dziewczę, drugi raz wybuchająca gwałtownie; nie była też ta swawolna Sybilka, z ostrym języczkiem; ale Sybila zalotna, skromna i powolna zarazem, trzymająca go przy sobie jak przykutego przez kilka godzin, pod wpływem czaru, z pod którego niechciał się wyłamywać. Kilka razy wspomniał aby szła do gości, ale Sybilla zawsze odrzucała propozycyję ze stanowczą niechęcią. Po co tam ma odchodzić? Czy tak prędko się nią znudził? To bal pani Kennedy, ostatni, niech używa.

— Ale obiecałem pani Ronald że będę śpiewał.

— Pani Ronald obejdzie się bez ciebie — stanowczo odpowiedziała Sybilla. Żona cię potrzebuje, mój panie!

— Co tobie jest dzisiaj? zapytał. Nie poznaję cię Sybillo!

— Widać że bardzo jestem szczęśliwa — rzekła usiłując śmiać się.

— Wierzę i ja jestem szczęśliwy, mała czarodziejko. Masz dar szczególny, który mało kto posiada.

— Jakiż to? — zapytała.

— Dar — pewny jestem, że żadna inna kobieta, choćbym ją najbardziéj kochał, nie mogłaby tak bawić się mną, tak mnie wodzić, jak ty teraz. Nie ścierpiałbym tego — ale od ciebie wszystko zniosę, — dodał pokornie.

— Rozejdą się już niedługo pomyślała Sybilla z bijącem sercem. O, żeby go tylko przetrzymać szczęśliwie do końca.

— Pójdźmy popatrzeć na morze — zawołała, zrywając się nagle i zmierzając w boczną ścieżkę.

Prędko zabiegł jéj drogę i powstrzymał jéj kroki.

— Morze dziś spokojne, nie warto patrzeć na nie — rzekł.

— Ale mam ochotę je widzieć — odpowiedziała kapryśnie, — pójdźmy.

— Zostańmy tu lepiéj, Sybillo, zdala od blasku morza i słońca.

Stali w cienistéj alei. Pyszne to było miejsce, słodka, cicha samotnia, ale Sybilla usłyszała śpiew pani Kennedy i zaczęła się obawiać.

— Pójdźmy! — prosiła.

— Dlaczego?

— Bo mam ochotę.

— Ja myslę że wypada nam iść do salonu Sybillo!

— I nie chcesz mi uczynić nawet takiéj przyjemności! — zawołała z oburzeniem.

— Moja najdroższa zrobię wszystko, żeby ci się przypodobać!

Ale nie ruszał się z miejsca.

Zarzuciła mu ręce na szyję i lekko poprowadziła, zaledwie jednak uszli kilka kroków, Dermot zatrzymał się.

— Zdaje mi się że to pani Kennedy śpiewa? — zapytał.

— Cóż z tego — czy ci chodzi o to żebyś ją słyszał?

— Dlaczego nie? Ma bardzo ładny głos.

— No, zrób żeto raz dla mnie — prosiła Sybilla ze łzami w oczach — pójdź.

Spojrzał na nią zdziwiony i niezdecydowany. Zarzuciła mu ramiona na szyję i przykładając twarz do twarzy, pocałowała go. Niestety, pocałunek ten ją zdradził.

— A, zdrajczyni! — zawołał, odsuwając ją od siebie. Miłość i gniew zarazem zabłysły mu w oczach. Oszukujesz mnie! Dlaczego chcesz mnie trzymać od nich zdala?

Gniew jego pozbawił ją przytomności umysłu.

— Pani de Loinville otrzymała list bezimienny dziś rano — rzekła słabym głosem:

Napróżno zaciskał wargi, drgały mu z gniewu i zmartwienia. Miał się za bezpiecznego i zwycięzcę, tymczasem został pokonany. Spadła hańba, która tak długo na niego czychała! Co za niewysłowiona gorycz! co za los! tak w ciągu jednéj godziny przejść od słodkich szałów miłości, do surowéj rzeczywisto-

---

czał tą siłą odporną, jaka go dotąd cechowała, wzbudzając podziw samych niemców, i jeżeli nie będzie więcéj takich ludzi, jak niejaki pan Karol Miarka, który w tych czasach dał dowód wysokiéj obywatelskości, a czyn którego nie powinien pozostawać w ukryciu, ale owszem być wystawionym na światło dzienne za wzór do naśladowania, za przedmiot powszechnéj czci! Wiadomo, iż od niejakiego czasu, element słowiański zaczął się podnosić w Górnym-Szlązku; popierał go silnie pan *Karol Miarka*, wydając w Królewskiéj-Hucie dziennik polski z nadpisem „Katolik.“ Działalność jego musiała być solą w oku niemcom, skoro nieszczędzili wszelkich środków aby go od wydawnictwa pisma powstrzymać. Gdy prośby i groźby nie skutkowały, gdy pan Miarka (były nauczyciel) wytrwale stał przy swojem, postanowiono go skusić ofiarą *stu tysięcy talarów*, aby wydawnictwa zaprzestał. Czy uwierzycie? i to nie poskutkowało. Pan Miarka ofiarę odrzucił i dziennik swój ciągle w tym samym duchu wydaje. Czyn jego podziw uwielbienia wzbudził w łonie samych Niemców. Wychodząca we Wrocławiu „Schlesische Volkszeitung,“ a za nią „Germania“ i inne gazety europejskie podały ten fakt ze zdumieniem. My takowy przepisujemy drżącą od radości ręką, tego do swojéj narodowości zaliczamy, albowiem z takich ludzi jak pan Karol Miarka z Królewskiéj-Huty na Górnym-Szlązku, może być dumna cała Słowiańska ziemia!“

* * *

P. Walery Przyborowski napisał nową powieść p. t. „*Na mogile*“. Utwór ten ma się wkrótce ukazać w szpaltach jednego z pism tygodniowych i zasługuje na uwagę już ze względu na samą tendencyję polegającą, o ile nam wiadomo, na odzwierciedleniu stosunków wytwarzających się pod naciskiem germanizmu, który ogarnąwszy przemysł, handel a nawet własność rolną, coraz silniej zagraża najdroższym naszym interesom. Oprzeć się temu prądowi—oto nasze zadanie. Wiadomo dziś już powszechnie jak doniosłe znaczenie ma powieść tendencyjna popularyzująca w najłatwiejszej formie społeczne kwestyje i życiem pulsujące idee; dlatego z prawdziwą przyjemnością powitamy pracę p. Przyborowskiego, jeśli tylko artystyczna jej strona dorówna zacnym dążnościom.

* * *

P. Oskar Sosnowski przysłał na wystawę sztuk pięknych z Rzymu statuę „Matki Boskiej“ średnich rozmiarów z Karraryjskiego marmuru stojącej na globie z rękami na piersiach złożonemi. Statua ta odznacza się miękkością wykończenia, draperyje jednak zanadto są zaokrąglone. Posąg ten ma swoje zalety, w ogóle jednak nie dorównywnywa znakomitemu dziełu tego artysty „Chrystus w grobie” znajdującemu się w kościele św. Józefa na Krakowskiem Przedmieściu.

* * *

Kursa teoretyczne dla gorzelników, po otrzymaniu pozwolenia właściwej władzy, otwarte zostaną w Warszawie z końcem bieżącego miesiąca.

* * *

P. Wład. Miller b. artysta naszej opery, ozdobiony został przez króla Portugalskiego Krzyżem kawalerskim orderu Chrystusa. Dzienniki lizbońskie bardzo pochlebnie oceniają talent p. Millera; najsympatyczniej przyjmowano go w operze Marchettego: Ruy-Blas i Verdiego: Don Carlos. Po ukończeniu szeregu wystąpień w Lizbonie i w Madrycie p. Miller powrócił do Medyjolanu.

* * *

Wychodząca w Pradze czeskiéj „Correspondence Slave“ zamieściła ciekawy artykuł p. t.: „**Pruskie Talary**“ o machinacyjach pruskich w ziemiach czeskich, który kończy w sposób następujący: „Talary pruskie są to srebrniki Judasza; zdrajcy ojczyzny tylko ich

ści życia! Spojrzał na żonę zmartwiony i gniewny.

— A więc — rzekł — dla tego przetrzymywałaś mnie tu, wabiąc i odpychając na przemian! Czy zapomniałaś że jestem twoim mężem? Jakżeś mogła to robić? jakżeś śmiała trzymać mnie tu w oddali, jak gdybym się jéj lękał!

— No, daruj mi — daruj! — rzekła pokornym głosem; — ale lękałam się.

— Czego? przerwał ostro —

Opuściła powieki, głos jéj zadrżał.

— Bałam się, że ci tam ubliżą.

— I niechciałaś dzielić wstydu zniesławionego człowieka — odpowiedział z goryczą.

Jakże głęboka musiała być rana, która doprowadziła go do takiéj mowy!

— Idź do nich w téj chwili, jeżeli sądzisz że tak trzeba! — zawołała Sybilla cała w płomieniach, — idź i powiedz im: Oto jestem Dermot, którego spotwarzacie i krzywdzicie, a o to moja żona.

Wzrok jego złagodniał, westchnął, położył rękę na jéj ramieniu i pocałował ją na znak zgody i przebaczenia; ale było coś ponurego w jego twarzy, świadczące Sybilli, że nie o niéj myślał w téj chwili.

— Idź do salonu — rzekł z pewnym chłodem.

Nieodważyła się go zapytać co myśli zrobić. Skierowała się do domu. Raz odwróciła się i spojrzała na niego, stał na miejscu na którym go zostawiła, chmurny i nieruchomy. Weszła do salonu nikt na nią nie zwrócił uwagi. Pani Kennedy śpiewała wraz z dwoma drugiemi paniami. Sybilla spojrzała na trzy panie, każdą z nutami w ręku i dziwiła się jak mogły śpiewać w dniu takim. Jeden tylko ojciec widział ją, a ze zmieszanych jego oczu mogła wnosić, że czytał na jéj twarzy. Ale Sybilla miała jeszcze maleńką nadzieję.

— Może nie przyjdzie pomyślała, gdy nagle serce jéj podskoczyło w piersiach — drzwi otwarły się, Dermot wszedł.

## ROZDZIAŁ XXII.

Dermot blady i poważny, stanął przez chwilę na progu pokoju, potem wszedł i drzwi zamknął za sobą. Nastąpiła nagła i głucha cisza. Trwała tylko minutę, może kilka sekund, ale bardzo było znaczące to uciszenie, które nastąpiło po głośnym szmerze konwersacyi, jak również i szept który po ciszy znowu nastąpił. Sybilla uważała że Dermot śmiało rzucał dokoła spojrzenia, nie przybliżając się jednak do nikogo, tak jak nikt do niego się nie zbliżał. Siadł na osobności, poważny, baczny, nawet surowy.

Nie potrzebował czekać długo, pani Roland spojrzała na zegarek i wstała. Wszyscy szeptać poczęli. Niektóre panie, kręciły się niecierpliwie na swych miejscach; niektórzy panowie wymieniali spojrzenia; ale wzgląd na panią Roland powstrzymywał ich zapewnie, gdy bowiem rzekła:

— Panie Kennedy, czy mogę prosić o kilka minut osobnéj rozmowy — nikt się nie poruszył. Wyszła majestatycznie z pokoju, za nią Kennedy i nastała głęboka cisza.

Sybilli serce się ścisnęło. — Więc wiedzą? O, jeżeli tak, jakże pragnęła iść usiąść obok niego i podzielić hańbę niezasłużoną! Jakże pragnęła głośno odezwać się do tych ludzi, spoglądających tak zimno i znacząco.

— Niewinny jest — i zawstydzicie się jeszcze waszego okrucieństwa. Spojrzcie na niego i powiedźcie czy tak wygląda przestępca!

Na twarzy jego czytała wzgardę, gniew i jakąś dumną cierpliwość. Cierpliwość dumnéj duszy.

— Zdaje mi się że na mnie koléj śpiewania—rzekła pani Kennedy, spoglądając w około z uśmiechem. Zdjęła rękawiczki, przystąpiła do fortepianu i zaczęła śpiewać przy własnym akompanijamencie, spoglądając na Sybillę i Dermota zuchwałym wyzywającym wzrokiem. Nie doszła jeszcze do połowy, gdy uchyliły się drzwi i zajrzał Kennedy z twarzą rozgniewaną.

— Panno Spencer — bądź tak łaskawa przyjść tutaj — rzekł ostrym tonem.

Panna Spencer wstała i wyszła. Zamknęły się drzwi za nią, pomiędzy gośćmi nastąpiło szeptanie i poruszenie, ale pani Kennedy śpiewała daléj. Znakomita była w trelach i ani jednéj nuty nieopuściła ze swego śpiewu. Gdy nareszcie wstała od fortepianu, spostrzegła poraz pierwszy zapewne, że oprócz Sybilli i Dermota, wszyscy stali. Pani Kennedy zrobiła minę niezmiernie zdziwioną. Przecież nie zechcą się rozchodzić? Dopiero połowa próby koncertowéj.

— Panie Kennedy! zawołała, zwracając się do małżonka, który teraz sam jeden tylko wszedł do sali — powiedzże państwu że niemożemy ich puścić.

Mówiła wesoło, śmiejąc się przytem. Jéj małżonek jednak miał twarz rozpłomienioną i surową.

— Burza nadchodzi — rzekł — pewno nasi goście obawiają się żeby ich nie zaskoczyła.

— Mamy dość łóżek — swobodnie rzekła pani Kennedy, spoglądając niebieskiemi oczyma, — o! łóżek mamy dosyć.

Ale wzmianka o burzy, którą poddało Kennedemu zachmurzone niebo, bardzo była dogodna gościom. Byli to bowiem ludzie dobrze wychowani, unikający skandalu i obrażający w sposób jak można najprzyzwoitszy. Tuzin głów wsunął się do każdego z okien, wszyscy uznali że niebo bardzo groźne, że jednak jeszcze dość czasu dla dostania się do Saint Vincent.

Przy tak dogodnéj wymówce, wkrótce nastąpiło powszechne wybieranie się w drogę. Pan Kennedy zimno się temu przyglądał, ale pani Kennedy wynurzała głośne żale, dlaczego odchodzą tak wcześnie? To zmowa, doprawdy zmowa, i biegała od jednéj osoby do drugiéj, błagając i robiąc wyrzuty, aż nareszcie mąż położył jéj rękę na ramieniu i spojrzał w oczy tak ponurym wzrokiem, iż mimo całego swego zuchwalstwa, uczuła potrzebę porzucenia téj roli.

Nakoniec poszli wszyscy — ostatni szeleszczący ogon, ostatnie ciemne palto zniknęło za drzwiami, a w opuszczonym salonie zostało się czworo domowych osób — dwóch mężczyzn i dwie kobiety.

Sybilla wstała i przybliżyła się do małżonka, siedzącego jeszcze na tem samem miejscu i w téj saméj poważnéj i surowéj postaci.

— Czemużeś nic nie mówił — zawołała — czemużeś ich nie zgnębił? Jak mogłeś znieść to wszystko?

Spojrzał na nią posępnie, ale nic nie odpowiedział.

— Nienawidzę ich wszystkich! zawołała Sybilla z błyszczącym wzrokiem; — nienawidzę pani Roland i jéj spojrzenia!

— Daj jéj pokój — odpowiedział z pogardliwym uśmiechem — daj jéj pokój!

---

się dotkną; bo jeżeli Prusacy hojną ręką rozsiewają pieniądze po Czechach, to jedynie w téj nadziei, że im się z lichwą wrócą te nakłady, skoro nadejdzie chwila wkroczenia ich w granice naszego państwa."

* * *

Henryk Brissac w dziele p. t.: „Esprit nonveau dans l'humanité." (Drugie wydanie) wymarzył sobie następujący świat w dalekiéj przyszłości: człowiek będzie wtedy istotnym panem ziemi i sił przyrodzonych; dobrze określona i zastosowana hygiena uczyni go zdrowym i silnym; lewiatany wodne, greatesterny, których dzisiejsze są ledwie miniaturą, pruć będą morze z szybkością nieporównaną; tunele poprzedziurawiają najniedostępniejsze góry; kierunek statków powietrznych przejdzie pod kierunek woli człowieka; meteorologija dostarczy danych potrzebnych do obrachowania bliskich wstrząsnień atmosferycznych; zdolni inżynierowie umożebnią uprawę pustyń; żar sprowadzony sztucznie z pod równika ogrzeje podbiegunowe strefy: chemija rolnicza upłodni całą ziemię; słowem, użycie umiejętne i metodyczne sił natury zamknie erę ubóstwa i obawę przeludnienia. Tym sposobem praca, która dziś jest czémś niewolniczo poniżającém, stanie się tylko miłém przepędzeniem czasu, godném takiéj istoty jak człowiek, a własność ziemska monopolem wszystkich, jak powietrze i woda i t. d. i t. d.—Obszerny rozbiór powyższego dzieła zamieszcza „Wieniec."

* * *

Dr Artur Wołyński spolszczył „Jerozolimę wyzwoloną" Torkwata Tassa.

* * *

P. Kaufman księgarz tutejszy rozpoczyna wydawnictwo „Biografii znakomitych ludzi współczesnych."

* * *

Zamiérzonem jest wydanie na rok przyszły „Rocznika kaliskiego," do którego wielu kaliszan zajmujących się nauką i piórem, współzawodnictwo swe przyrzekło.

* * *

Dnia 11 maja odbyły się w Krakowie wybory na członków miejscowych *Akademii Nauk*. Oddział nauk moralnych i archeologii b. Towarzystwa Naukowego wybrał pp. Kremera, Pola, Siemieńskiego, Walewskiego, Szujskiego, Mecherzyńskiego, Dunajewskiego i Estreichera. P. Estreicher małą liczbą głosów przewyższył p. Maurycego Manna, przedstawiciela dziennikarstwa krakowskiego. Inne oddziały Towarzystwa mają również dokonać wkrótce wyborów; a gdy członkowie miejscowi zostaną zatwierdzeni przez cesarza, przystąpią do głosowania na 24 zamiejscowych.

* * *

P. Jan Brzeziński lekarz, b. uczeń uniwersytetu Warszawskiego, syn Andrzeja, znanego w Warszawie Mecenasa — bronił w końcu Marca r. b. na Uniwersytecie Berlińskim, rozprawy przygotowanéj na stopień doktora medycyny.—Przedmiotem rozprawy był Kumys jako środek leczniczy. Oponentami byli D-rowie Medycyny Chłopowski — Mizerski i D-r filozofii Warmiński. Rozprawy odbywały się w języku niemieckim.

* * *

I jeszcze jeden *ślad życia*, ale smutny. Hr. Maurycy Potocki, jak donosi Gaz. Handlowa sprzedał *Berlińskiemu Towarzystwu* „Holtz Comptoir" 50 włók lasów Jabłonny pod Warsawą, po cenie 4300 rubli za włókę. Jedna część szacunku w sumie 170,000 rs. wypłaconą została przez Bank Handlowy Warszawski.—Co prawda — *wolnoć Tomku w swoim domku*... a jednak... *la noblesse oblige*...

Otarł łzy z jéj zarumienionych policzków, ale było to prawie machinalnie, zdawał się niewidzieć swojéj młodéj żony.

I Sybilla przestała płakać. Czuła się bezsilną, wiedziała że nieułagodzi niczem zmartwienia Dermota i że w takiéj chwili goryczy nie ma dla niéj miejsca w jego sercu. Ledwie kilka minut upłynęło, jak wypił kielich upokorzenia aż do dna, gniew nim wstrząsał i pragnienie zemsty. Pani Ronald i jéj przyjaciele byli tylko figurantami w tym tragicznym dramacie. który rozpoczął się między nim i Blanką Cenis i w którym do téj chwili ciągłe i okrutne spadały nań porażki. Przychodziła jego koléj i nie myślał wcale być umiarkowanym. Niebyło względów dla kobiet u Greków Tezeuszowych walczących z Amazonkami, i Dermot też nie myślał o oszczędzaniu swojéj fałszywéj niegdyś kochanki, ani też ukochana Sybilla była mu teraz w głowie, ale raczéj kobieta która pokonała go i upokorzyła, a któréj on teraz myślał równą monetą odpłacić.

Pani Kennedy nie mogła wytrzymać jego przenikliwego, zuchwałego spojrzenia, ulgą jéj było zwrócić się do surowéj twarzy swego małżonka. Wiedziała że atak się zbliża i chciała go uprzedzić.

— Może pan Kennedy będzie mi mógł powiedzieć powód dla którego pan Dermot zaszczyca mnie swoją wizytą o téj porze? spytała ironicznie.

Oparła się w kozetce, któréj białe poduszki obsiane były świetnych kolorów kwiatami. Piękna była Blanka i bezczelna zarazem. Kennedy spoglądał na nią z dziwną mięszaniną gniewu i miłości. Widział że jest niebezpieczna, że jest syreną pociągającą go do zguby, wiedział że niedba o niego, że wyszła za niego dla pieniędzy, że i teraz jest powodem jego ruiny, ale pojął ją dla piękności i jeszcze był pod jéj wrażeniem. A pani Kennedy wiedziała o swojéj potędze i nie czekając odpowiedzi mówiła daléj z pogardliwym śmiechem.

— Może wykroczyłam przeciw przepisom grzeczności? W istocie powinnam była powinszować ci zięcia.

Rozśmiała się. Śmiech ten często czarował ucho jéj małżonka, teraz jednak doprowadził go do wściekłości.

— Nieszczęsna kobieto! -- rzekł — jaki demon cię opanował? czy nie masz ani rozumu, ani serca, ani sumienia? — nic oprócz téj smutnéj piękności?

Rozśmiała się znowu i spojrzawszy w zwierciadło uśmiechnęła z zadowoleniem.

— Nic oprócz piękności — rzekła. Sądzę, że i to coś warto, panie Kennedy — przynajmniéj tak mi mówiono. *(D. c. n.)*

---

## GAWĘDY POPULARNO-NAUKOWE.

### II. Oko i mikroskop.

*(Dokończenie).*

Zasada na któréj się opiera budowa mikroskopu złożonego, łatwo da się objaśnić. Polega ona na połączeniu ciemni optycznéj z mikroskopem prostym. Zwyczajna *Camera obscura* składa się z kilku szkieł oszlifowanych w kształcie soczewki; promienie wychodzące od badanego przedmiotu przechodzą przez te soczewki i tworzą po za niemi jego obraz, który pada na szkło matowe lub na papier. Im bardziéj przedmiot jest oddalony od szkieł, tém obraz jego jest *mniejszy;* im bardziéj zbliżamy przedmiot, tém obraz jego staje się większy, dopóki wielkości obrazu i przedmiotu nie zrównają się. Jeżeli jednak zbliżamy przedmiot jeszcze bardziéj do soczewki, obraz staje się większym od przedmiotu. Ten ostatni przypadek nie ma wprawdzie zastosowania przy ciemni *optycznéj,* lecz ma je w latarni czarnoksięzkiéj, która w zasadzie w niczém się od poprzedzającéj nie różni. W złożonym mikroskopie podobny przyrząd tak jest zastosowany, że widzimy powiększony obraz przedmiotu nie bezpośrednio za pomocą oka, lecz za pomocą mikroskopu prostego, skąd wypływa znaczne powiększenie. Jeżeli np. obraz jest 100 razy większy od przedmiotu, a powiększymy go jeszcze 10 razy, to przedmiot wyda się nam 1,000 razy powiększonym. Tak więc złożony mikroskop składa się z podwójnego optycznego przyrządu, naprzód ze szkieł skierowanych na przedmiot (objekt) które jego powiększony obraz odrzucają, dla tego też nazywają je *szkłami przedmiotowemi* (objektywami) i powtóre z prostego mikroskopu za pomocą którego już raz powiększony obraz przedmiotu, powtórnie powiększamy. Mikroskop ten skierowany jest do oka i dla tego zowią go *Szkłem oczném.* Sądząc z opisu, możnaby mniemać że tym sposobem powiększenie daje się posuwać do coraz wyższego stopnia, ponieważ wielkość przedmiotu jedynie od tego zależy, jak dalece zbliżamy go do szkła przedmiotowego, powiększenie zaś obrazu warunkuje się tylko coraz większém zbliżeniem obrazu do oka. Lecz téj teoretycznéj możliwości opierasię tyle przeszkód w praktyce, że wszystkie wyrabiane instrumenta dalekiemi są od przypuszczalnéj granicy powiększenia.

Potrącę tutaj tylko o najważniejszą z przeszkód i ażeby ją uwydatnić przytoczę dobrze znany fakt. Książki, nasze drukują się to małemi. to średniemi, to nareszcie wielkiemi literami, gdy są dla dzieci lub dla ludzi starych, przeznaczone. W tych ostatnich każde pojedyncze słowo, jest może 6 razy większe jak w pierwszych, dla tego też daje się wygodnie czytać mimo to jednak, we wszystkich wydaniach widzimy jednakową liczbę liter. Toż samo słowo mógłby jeszcze jakiś kaligraf tak drobniuchno wypisać, że gołemu oku wydawałoby się małym, czarnym punktem. W tym razie powiększenie punktu rozłoży go na pojedyncze części i pozwoli wyraźnie odróżnić litery i kréski, dalsze jednak powiększanie powiększy wprawdzie miarę, pojedynczych części, lecz nie pokaże żadnych nowych maleńkich cząstek których by wprzód niemożna było odróżnić. Podobna okoliczność ma miejsce i w mikroskopie. Aż do pewnéj granicy obraz przemiotu utworzony przez obiektyw jest tego rodzaju że drobiazgi w nim zawarte, okular (szkło oczne) może powiększyć jeszcze lub uwydatnić. Lecz jest granica, przy któréj z powodu niedokładności objektywów (szkieł przedmiotowych), obraz przez nie rzucony może wprawdzie jeszcze być powiększonym, ale przy tém nie odróżniamy już większéj liczby pojedynczych jego cząstek. Litery będą zatém wyraźniejsze, lecz powiększenie nie rozłoży nam żadnéj z nich na dwie. jakby sądzić można. Stąd wypada dosyć dziwna okoliczność, że w dobrym mikroskopie przy mniejszém powiększeniu widać lepiéj, bo więcéj szczegółów, niż przy bardzo wielkiem powiększeniu lichego mikroskopu.

Ponieważ zaś przy wszelkich badaniach naukowych, idzie właśnie o poznanie jak najdokładniejsze szczegółowéj budowy przedmiotów, zatém powiększenia tylko dopóty mają zastosowanie, dopóki temu warunkowi czynią zadosyć.

Granica ta przynajmniéj jak w mikroskopach do dziś dnia wyrabianych, przypada na powiększenie od 300 do 400 razy na długość; znaczniejsze, albo są nieużytecznemi zabawkami, albo jak miljonowe powiększenia mikroskopu oświeconego światłem Drummand'a, służą szarlatanom do zwabienia niewtajemniczonych, chociaż te olbrzymie powiększenia mniéj są warte od 50 razowych w zwyczajnym dobrym mikroskopie.

Widoczną jest rzeczą, że naukowemu badaczowi niezmiernie wiele zależy na dokładném ocenieniu dobroci instrumentu; dla tego téż starano się usilnie o wynalezienie środków ku temu celowi wiodących. Zastosowano więc użycie *przedmiotów próbnych* (testae), szczegóły budowy których trudno rozeznać. Jedne z nich bywają sztuczne, inne gotowe znajdują się w naturze. Za pierwsze dotąd służą systematy setek bardzo delikatnych linijek, narzynanych diamentem na szkle, a to w ten sposób że każdy następujący dziesiątek składa się z delikatniejszych i bardziéj do siebie zbliżonych kréseczek. Za pomocą większéj części instrumentów można zaledwie szósty lub siódmy taki system na pojedyncze linijki rozdzielić, lepsze przyrządy robią toż samo z ósmym lub dziewiątym dziesiątkiem. Kréseczki w dziesiątym numerze można odróżnić tylko za pomocą najwyborniejszego dotąd znanego mikroskopu. Systematy tych linijek robiły wielkie wrażenie, gdy je wynaleziono, lecz wada ich polega na tém, że nie można znaléźć dwu zupełnie jednakowych egzemplarzy, a zatém każdy badacz podług odmiennéj miary obliczać musi.

Znacznie dokładniéj od człowieka pracuje natura i dla tego do dziś dnia za najlepsze testy uważają się łuszczki ze skrzydeł motylich. Po największéj części są to małe, płaskie tarcze, zakończone ostrym wyrostkiem, pokryte na powierzchni delikatnemi żyłkami, które są powiązane ze sobą za pomocą nieskończenie cieniutkich innych żyłek.

Oba gatunki żyłek u rozmaitych motylów różną mają grubość, szczególniéj poprzeczne nerwy u dosyć pospolitego brunatnego motyla: *Hipparchia Janira* są tak delikatne, że można je widzieć jedynie tylko przy pomocy najlepszych znanych mikroskopów.

Oprócz tych zwyczajnych łuszczek jest jeszcze wiele innych przeróżnéj formy i układu żyłek, a każdy kto się badaniem ich zajmie musi podziwiać bogactwo i rozmaitość kształtów jakie natura, nawet w tych drobniuchnych swych tworach roztoczyła. Dawniéj nawet wielu zadawalniało się radością jaką im sprawiały te piękne obrazy, nie podejrzewając prawie jak ważne przysługi mogą oddać nauce mikroskopowe badania. Dowodzą tego tytuły wielu dzieł wydanych w zeszłém stuleciu np. *Ledermüller'a* „Mikroskopowe rozrywki dla umysłów i oczów" *Rösel'a von Rosenhoff's'a* „Zabawy owadów" i t. d. Jednakże nie brakło badaczów, którzy bardzo poważnie patrzyli na ten kierunek naukowych badań mikroskopowych, a nawet mamy przykład osobliwéj przesady w *Swamnerdam'ie,* który większą część wypadków otrzymanych w skutek długoletnich badań, przy schyłku życia spalił, będąc tego mniemania, że Stwórca naumyślnie ukrył te rzeczy przed okiem ludzkiém i że wyrządza się zniewagę Jego majestatowi chcąc to, co ukrył zbadać. W istocie zaś, gdybyśmy zdanie to konsekwentnie daléj przeprowadzili, należałoby każde wzniesienie się człowieka po nad jego dziki stan zwierzęcy, za bezbożne uważać.

Dopiero naszemu wiekowi należy się zaszczyt zastosowania do nauki badań mikroskopowych. Przyjemnie jest widzieć jak użycie tego instrumentu coraz więcéj zastosowań znajduje, a w miarę tego jak koło działalności mikroskopu rośnie, powiększa się też liczba rezultatów za jego pomocą otrzymanych.

Dla tego też, można będzie śmiało twierdzić, że od czasu zastosowania mikroskopu do badań naukowych, datuje się nowa era dla wszystkich prawie gałęzi wiedzy lekarskiéj. Nie trudno też zrozumiéć, że poznanie drobnych organizmów roślinnych i zwierzęcych, stało się punktem zwrotnym dla Zoologii i Botaniki. Można sobie także wyobrazić jakie zastosowanie znalazł mikroskop w dziedzinie Chemii, Mineralogii i Geognozyi. Ważność tego przyrządu, głównie zwraca uwagę ze względu na Chemię organiczną. Na tém polu często sam tylko mikroskop może roztrzygnąć, czy ciało z którém mamy do czynienia jest jednorodném, czy też jest poprostu mieszaniną różnych części składowych. Nie wprowadzonoby do nauki massy fałszywych związków, wielu badaczów nie traciłoby napróżno swego czasu i sił na ich zbadanie, gdyby mikroskop wcześniéj był zastosowany do Chemii. A tymczasem trafiało się, że nawet najznakomitsi chemicy, jak: Liebig, lub Berzelius, mówili o związkach, które wcale nie istnieją. Tak się dzieje np. z włóknami krochmalu powstającemi po otrzymaniu mąki z kartofli—które to włókna są poprostu mieszaniną zwyczajnego krochmalu i włókien drzewnych, czyli t. z. drzewnika; toż samo ma miejsce z *polleninem*, którą to nazwą chciano oznaczyć główną część składową pyłku kwiatowego, a tymczasem jest to mieszanina wielu pojedynczych, dobrze znanych materyj. Podobnych przykładów wieleby można naliczyć. Jeszcze wyraźniejsze jest znaczenie mikroskopu dla Mineralogii i Geognozyi. Idzie tu bowiem o dokładniejsze zbadanie i opisanie całego systemu formacyi i pojedynczych minerałów, aniżeli na to mogły pozwolić dotychczasowe grube nasze środki. Badania takie już się prowadzą. Jeszcze Ehrenberg, za pomocą mikroskopu ukazał nowy świat życia, gdy przekonał nas, że olbrzymie pasma gór, poczynające się w Azyi, a ciągnące się przez Północne Niemcy do Francyi i jeszcze raz występujące na greckim Archipelagu, są złożone z niezmierzonéj massy muszel, z węglanu wapna zbudowanych, które to massy my kredą zowiemy. On także przekonał nas, że łupek polerowniczy (trypel) i mąkę górną należy poczytywać za krzemionkowe utwory, pochodzenia organicznego: dowiódł nawet że opale i krzemienie są także szklistą krzemionką, pewną ilość wody zawierającą. Nie mało nas także dziwi, że powstanie wielu znacznych części ziemskiéj skorupy, przypisać należy życiowéj działalności maleńkich zwierzątek, gołém okiem niewidzialnych. Z cudownością granicząca szybkość rozmnażania (za pomocą dzielenia się) i trwałość szczątków, wynagradzają ich małość.

Oprócz wymoczków, utworzonych całkowicie z galaretowéj zwierzęcéj materyi, są jeszcze i inne cechujące się tém, że okrywają się pancerzem podobnym do muszli mięczaków, a zbudowanym z węglanu wapna, lub krzemionki. Zwierzę wprawdzie, przestawszy żyć, ulega zgniliźnie i znika, lecz domek który zbudowało, mała skorupka owa, zostaje. Skorupki te nagromadzają się takiemi massami, że w końcu pewnego czasu, tworzą całkowite łańcuchy gór. Pancerze utworzone z krzemionki, zlewają się z sobą sposobem nam nieznanym, tworząc opale i krzemienie. Badanie tych właśnie drobnych organizmów musi być zajęciem botanika, gdyż do dziś dnia toczy się nieroztrzygnięty, a nawet z pewną zaciętością prowadzony spór, czy te twory należy zaliczyć do zwierząt, czy też do roślin?

Co do massy, niezaprzeczenie pierwsze miejsce zajmują wapienne skały, będące utworem wymoczków. Znaczna część Rossyi (nad Wołgą), Polski, Pomeranii (wyspa Rugija), Meklenburgii, Danii, Szwecyi, południowéj, Anglii i północnéj Francyi, Grecyi, Sycylii, północnéj Afryki, a może nawet i Sahary, składa się z gór lub pokładów kredowych, dochodzących tu i owdzie (jak np. w Anglii) do 1000 stóp wysokości. Wyobraźnia nuży się gdy chcemy utworzyć sobie pojęcie o tém życiu, pamiętając na to, że bilet wizytowy powleczony dla gładkości warstewką krédy, zawiera cały zoologiczny gabinet, do 10,000 zwierzątek liczący.

Podobnie jak Kopernik, Gallileusz, Kepler, Newton, Herschel, wprowadzili nas w świat nieskończoności, jak Kolumb, Magellan i ich naśladowcy odkryli drugą połowę ziemi, podobnie też w ostatnich czasach Ehrenberg swoją niezmordowaną pilnością, ukazał zdumiałym oczom naszym świat nowy, złożony z jednostek nieujętych gołém okiem, lecz tak nagromadzonych w skutek niezmordowanéj twórczości przyrody, że nawet człowiek, w obec tych przerażających ogromem swoim mass, wydaje się bezsilną istotą.

W r. 1826 dnia 26 Stycznia na skale Round-Down, nie opodal od Douvre'u, zebrała się w niespokojném oczekiwaniu massa ludzi, chcąc być obecną jednemu z najwspanialszych i najpotężniejszych podminowań jakie kiedykolwiek rozum ludzki obmyślił. Roboty wstępne, wybicie otworu i zasadzenie miny wymagało całych lat pracy. Za pomocą olbrzymiéj bateryi galwanicznéj, zapalano naraz, dotąt niepratykowaną massę 185 centnarów prochu.

Prawie bez huku zwalił się od razu w morze niezmierny odłam skały. W jednéj minucie 20 milijonów centnarów skały wapiennej zostało rozerwanych w kawałki, a szczątki jéj pokryły pole mające 15 morgów kwadr. (acres) przestrzeń na 20 stóp wysoko.

Z tego skutku można ocenić siłę, jakiéj użyto. I z kiemże to stoczył tak potężną walkę, potężny umysł człowieka? Oto ze szczątkami stworzeń, których tysiące można zniszczyć jedném pociągnięciem palca. Zdumieni, zapytujemy: „Cóż się w naturze nazywa małém?"

Nie podlega wprawdzie żadnéj wątpliwości, że ocena wartości jakiejś rzeczy, podług jéj wielkości, jest oznaką pewnego zacofania lub małego wykształcenia. Miara bowiem, nie daje się zastosować do rzeczy najważniejszych i najgodniejszych uwagi; duch ludzki nie daje się wymierzyć na stopy, cale lub linije.

Tylko nieokrzesanemu umysłowi może imponować fizyczna wielkość, człowiek zaś wykształcony rozpatruje przedmioty swoich badań wszechstronnie, a poznawszy ich własności i wartość, odróżnia wielkość prawdziwą od fałszywej, często też zdarza się w skutek tego, że jakąś rzecz małych rozmiarów za niezmiernie ważną uznaje.

Uwaga ta szczególniéj daje się zastosować do Botaniki. Był czas, w którym nauka ta z średniowiecznéj ciemności na światło wydobywać się zaczęła—był to czas szkoły Linneusza. Nie chcemy zmniejszać sławy szwedzkiego botanika, gdyż większa jest bezwątpienia zasługa, dać początek jakiejś nauce, utworzyć ją, aniżeli na pewnych danych już zasadach naukę tę daléj posuwać; a zatém nie chcemy robić przez to krzywdy Linneuszowi, gdy nazwiemy go przyczyną zakorzenienia się jednego z najsmutniejszych przesądów, który na długo zatrzymał Botanikę na bardzo niskim stopniu rozwoju, a nawet dziś jeszcze jego złe skutki opierają się postępowi téj nauki. Mam tu na myśli szczególniejsze uprzedzenie Linneusza do mikroskopu i wszystkich tych nauk, które tylko przy jego pomocy istnieć mogą. Wpływ szkoły Linneusza w tym względzie tak był szkodliwy, że to wszystko co zdobyli w końcu XVII wieku znakomici ludzie, a przed innymi Molpighi, w XVIII, tak kompletnie było dla nauki zatracone, że nawet znakomici badacze na początku naszego stulecia żyjący, nie dosięgli pod wieloma względami Malpighi'ego. Dalsze prace na tém polu przedsiębrane, między innemi okażą także, że naukowe opracowanie Botaniki, które daleko jest pożyteczniejsze, niż obciążanie pamięci tysiącami nazwisk, bez użycia mikroskopu byłoby zupełnie niemożliwe. Taki też jest rzeczywiście nowoczesny kierunek téj nauki, a imiona: Roberta Brown'a, Brisseau-Mirbel'a, Amici'ego i Hugona v. Mohl'a, dały początek nowéj epoce. *Edmund Jankowski.*

# ZAPISKI

## z podróży po Europie,

PRZEZ

**J. Gordona.**

(*Ciąg dalszy*).

Nadszedł wieczór, gdym wstąpił w Hejdelbergu do oświetlonego hotelu „Księcia Karola," czy jak mu tam, na pstrągi tameczne, używające wielkiéj sławy z powodu swéj delikatności.

Salę jadalną zastałem przepełnioną cudzoziemcami. Ten sobie gadał i ów sobie gadał, pełno było gwaru różnorodnymi językami — prawdziwa wieża Babel. Pomimo to zgromadzenie miało cechę weselną. Ktoby nie znał był jeografii, mógł się jéj nauczyć, przysłuchując się rozmowom podróżników. Mieściło się też między nimi kilku oryginałów, podobnych do karykatur, jakie dzieci dla zabawki przylepiają na parawanach.

Gospodarz, uprzejmy człowiek, z papinkowatą fizonomją, który dowodził kelnerami, sam wedle zwyczaju niemieckiego najuniżeńszy służka przybywających gości, wskazał mi siedzenie przy ogólnym stole. Wdałem się z nim w gawędkę; piastował urząd miejscowego sędziego, to jednak nie przeszkadzało, żeby w obec swych gości nie wystąpił był we fraku, choć nie bardzo pasującym do jego brzuszka, w białym krawacie i z serwetą pod pachą.

Znał on dobrze wiele rodzin polskich, których nawet nazwiska przyuczył się znośnie wymawiać. A wszyscy wedle niego byli hrabiami, a najmniéj baronami.

— Ależ i w téj chwili masz tutaj pan ziomków — dodał, pokazując na osobny stolik pod oknem.

— Zapewne samych hrabiów, galicyjskich hrabiów, czemuż nie książąt?...

— O! najniezawodniéj — rzecze bezmyślnie — Ten pan naprzykład ze wschodnią fizognomią, który teraz mówi, to szambelan i baron Maskaran ze Lwowa.

Poczciwe Niemczysko, na ten raz musiał się grubo omylić, bo nie słyszałem, aby się kto we Lwim grodzie z podobnym nazwiskiem urodził.

Cokolwiek bądź, zwróciłem się w tamtą stronę, lecz towarzystwo było mi nieznane. Atoli dźwięk znanej swojskiéj mowy zalatywał stamtąd. Przeniosłem się tedy machinalnie do sąsiedniego stolika ziomków.

Baron Maszkaran (niechżesz i tak będzie), w średnim wieku mężczyzna, z ormiańskim wyrazem twarzy i haczykowatym nosem, opowiadał przygodę kuzyna swego w Anglii. Historyja straszna i przerażająca! Jednej z pań przysłuchujących się, brylantowe łezki

jaśniały w oczach. Rzecz się tak podobno miała:

Krewniak opowiadającego, ścigany losem, przybył do Londynu, nie nauczywszy się wprzód ani czterech wyrazów po angielsku i nie mając w téj ogromnéj stolicy nikogo znajomego.

Gdzieś w kawiarni czy oberży przyczepił się do niego jakiś usłużny jegomość, mianujący się być jego rodakiem, który zapomniał już z braku używania ojczystego języka.

Nieznajomy zakrawał z postaci na żydka, poczciwego żydka, ogłodzonego i przechrzczonego za granicą, a kochającego wszystko co swojskie, co rodzinne.

Świeżo przybyły nasz młodzian rad, że znalazł przecie sobie kamrata, przylgnął do niego od razu i zwierzył się jako jeszcze nigdzie nie mieszka.

Gościnny a rozczulony wiadomością żydek zaprasza go więc, niby do siebie.

Młodzieniec przyjmuje zaprosiny, idzie ze swym dobroczyńcą do jakiegoś mieszkania umeblowanego, a widząc niejako w przyjacielu tarczę od złej doli, opędza wydatki domowe, póki mu starczyło grosza.

Gdy się wyekspensował tak dalece, że mu już tylko w kieszeni pozostało płótno, wtedy towarzysz mu się wywnętrza o swoim chwilowym pod względem finansów ambarasie, i daje dobrą radę, że ponieważ wiosna się zaczyna, mógłby u znajomych sobie tandeciarzy, zamienić jego przenoszone zimowe suknie na zupełnie nowe letnie i dostać coś pieniędzy w dodatku.

Rozumie się, że młodzieniec zgadza się chętnie na to, zdejmuje z siebie i oddaje ubranie. Izraelita je zabiera, wychodzi i więcej nie powraca, przepadł bez wieści.

Niedługo odźwierny przynosi rachunek za komorne, a zastawszy nieszczęśliwego w szlafroczku, składającym całą jego odzież, i nie będącego w stanie zapłacić należytości, wyrzuca nieboraka na ulicę....

Nie wiem jak się ten smutny dramat zakończył, gdyż opowiadający przerwał nagle historyję, pobiegłszy ku drzwiom, skąd usłyszałem za sobą *fru-fru* sukni kobiecéj. Przyprowadził on jakąś wytworną damę do swojego grona—lecz głos jej tak mi był gdzieś znanym!

Ale otóż i obróciła się profilem... to ona! Krakowianka! znajomość z pod Fuldy! Snać stanęła w tym samym hotelu, do którego i ja później nadciągnąłem.

W miejsce futerka miała na sobie pyszną toaletę z sążnistym ogonem.

Skoro spojrzeliśmy na siebie, obojęśmy udali jako się wcale nie znamy. Wywiązałem się należycie z danego jej przyrzeczenia.

A ona? Ona była mistrzynią w sztuce udawania.

Patrząc na jej śnieżne czoło, na spokój i pogodę rozlaną na licu, na łagodny uśmiech, który chyba ukradła aniołom, na powagę i godność wzbudzającą uszanowanie ku téj młodej matronie, wreszcie na hołdy oddawane, nie dowierzałem własnym oczom i przetarłem okulary, żeby się jej lepiej przypatrzyć—tak mi się ta scena różną być wydała od komedyi odegranej w wagonie.

I opuszczając salon, pomyślałem sobie, że są doprawdy rzeczy w niebie i na ziemi, o których ani się śniło naszym filozofom.

### V.

Osada na obczyźnie. — Frankfurt i piękna Aryjadna.

W pobliżu Hamburga pod Frankfurtem nad Menem istnieje po dziś dzień osada francuzka. Jest to wieś, zwana Fridrichsdorf, przedstawiająca nader zajmujący widok dla każdego badacza dziejów ludzkości. Schronili się tam wychodźcy, prześladowani przez Ludwika XIV, potomkowie zaś ich zachowali dotąd zwyczaje i obyczaje swych praojców.

Kolonija Fridrichsdorf, położona wśród uroczej i żyznej doliny, okolona gajami, zdaje się być oddzieloną od reszty świata, wystarczającą o własnych siłach swoim potrzebom, pogrążoną w swej przeszłości i tradycyi. Wielu jej mieszkańców nie umie mówić po niemiecku, chociaż urodzili się pomiędzy Niemcami i są do koła nimi otoczeni.

Zwiedzając we Fridrichsdorfie garbarnię i fabrykę safianów, i tam nawet z podziwieniem napotkałem Polaków, jakoto: *Szuksztę*, *Niewiarowskiego*, *Orłowskiego* i innych, których nazwisk w téj chwili sobie nie przypominam.

Zdybawszy się tedy, odbyliśmy razem przechadkę po wsi.

Zauważyłem, że wszędzie napisy na miejskich sklepikach, tudzież nad drzwiami rzemieślników były po francuzku i że zarówno majstrowie jak ich czeladź mówili między sobą rodzinnym swym językiem, którego nie zdołał spożyć wpływ germanizmu.

Zaprawdę zapomina się tam, iż się jest w dolinie kraju niemieckiego, słysząc na ulicach, w oberży, w kościele, z ambony, mowę francuską z jej dawnemi wyrażeniami.

We Fridrichsdorfie przemysł i język jest francuski; co zaś do religii, postrzeżesz tam odrazu surowy protestantyzm, ów ostry purytanizm, dla którego pierwotni wyznawcy jego zasad stali się wygnańcami. Cytacyje Biblii zanadto często mieszane tam bywają do rozmów zwyczajnych, a duch niezależności wpoił w pamięć każdego mieszkańca listę przywilejów, nadanych gminie od czasu jéj założenia. Każdy z nich zna jak pacierz przysługujące mu prawa i swoje obowiązki; każdy jest żywym chodzącym kodeksem.

Jestto rodzaj maluchnej rzeczypospolitej, rządzonej przez obieralnego głosowaniem mera, tudzież przez pastora, z wyjątkiem opłaty podatków, które kolonija składała do ostatnich wojennych czasów poborcy landgrafa hesko-homburskiego, serdecznego jej protektora.

Chcąc odesłać list do Hamburga, polskim zwyczajem przyzwałem do siebie karczmarza, z żądaniem, aby mi dał jakiego chłopa na posłańca.

— U nas nie ma chłopów—odrzekł z przyciskiem. Wszyscy tu jesteśmy obywatelami.

I po tych słowach oddalił się z podniesioną dumnie głową.

A jednak co to znaczy gałęź od pnia odłamana pod względem postępu! Obywatele ci prawie nic a przynajmniej bardzo mało wiedzieli o dziejach Francyi, a umysł ich rozwijał się powolnie własnemi ich czynnikami. Doszli oni dopiero u siebie do wyrobienia pojęć panujących we Francyi w ubiegłem stuleciu i są dotąd zacofani, jak np. Kraków w obec Warszawy. Dzieła zaś encyklopedystów XVIII wieku, które się kilka lat temu dostały do kolonii, wywołały tam wrażenie, którego się przeląkł pobożny pastor miejscowy, gorliwy o zbawienie dusz owieczek swej trzody.

Patrząc na owe dwunożne owieczki trzody pana pastora, przyszli mi na myśl biedni Lutycy, Obotryci i nadelbiańscy Słowianie, którzy koniec końcem zaginąć musieli pod naplywem rassy germańskiej. Taki los czeka i mieszkańców Fridrichsdorfu.

Za przybyciem do Frankfurtu, postrzegłem na wstępie herb wolnego miasta: *orla białego*.

Dziś już zapewne ów herb zdjęli Prusacy.

Podczas kilkorazowego pobytu we Frankfurcie, spotykałem się tam z nimi, zarówno jak i z Niemcami drobnych księztw Rzeszy. Rozmawialiśmy często z sobą, a nie mogłem się wstrzymać od oburzenia, przysłuchując się głoszonym przez nich zasadom, ubarwionym czczemi sofizmatami.

Może to i słusznie książe Bismark orzekł, że każdy Niemiec, gdyby mógł mieć oddzielnego dla się króla, chętnieby przystał na to. Przypomina mi się tu bajka Ezopa o żabach i bocianie.

Ta otwartość okazała mi się złą wróżbą na przyszłość, choć jeszcze nie umiałem zdac sobie jasnego rachunku z przeczuć moich. Fakta atoli późniejsze najzupełniej je usprawiedliwiły.

Przejechawszy Niemcy od wschodu do zachodu, od południa ku północy, nie wyłączając Wiednia, wszędzie słyszałem doktrynerów i deklamatorów, wyrzekających w imię jedności państwa niemieckiego przeciw księztwom małych posesyjonatów. O Prusach zaś i Austryi ani słowa! Zostawiano tylko do domysłu, że są to wrogi, z którymi się kiedyś zładzi, a których obłuda nie jest wcale niebezpieczną.

Otóż skończyło się na tem, iż owładnięty ideą państwową ów potężny naród niemiecki, znany z pokojowego usposobienia, którego zresztą sławiona filozofia okazała się w konsekwencyi przestarzałą tylko teoryją panthеizmu, musiał wykonać to wszystko, co mu rząd pruski nakazał.

We Frankfurcie nad Menem, który prawie wczoraj jeszcze był wolnem miastem handlowem, zauważyłem różnemi czasy trzy rzeczy, a mianowicie: ulicę żydowską—przyjaźń dla Austryjaków (?) i zawiść ku Prusom.

Ulicę żydowską zaludniali przed kilkunastu laty prawdziwi naśladowcy mściwego Jehowy, podobni zawziętością na chrześcijan do Szekspirowskiego Shyloka; a na innych ulicach mieszkali prawdziwi chrześcijanie, nienawidzący z całego serca żydów. (*d. c. n.*)

---

## BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Buchhalteryja pojedyncza i podwójna—*nakład Centnerszwera*—Warszawa 1870—16-o str. 64.

Już sama nazwa pojedynczéj i podwójnéj buchhalteryi określa ich różnicę. Pierwsza zapisuje tylko pojedynczy dług lub wierzytelność powstałą z każdego interesu, t.j. zaznacza kto jest dłużnikiem lub wierzycielem, za co i ile. Druga zaś wychodząc z zasady, że z każdéj handlowéj operacyi powstaje powiększenie na jednéj, a zmniejszenie na drugiéj stronie, notuje zawsze podwójnie dług i należności. Jeśli np. towar kupuje się lub sprzedaje za gotówkę, w takim razie jednocześnie z powiększeniem się zapasu towaru zmniejsza się stan gotówki i odwrotnie; co więc na jednym rachunku przybywa, to z drugiego ubyć musi, co się na jednym dopisze, z drugiego odpisać potrzeba. Tym sposobem kupiec niezadowolniając się poznaniem jedynie stosunków do swych wierzycieli i dłużników t j. co komu ma płacić i co mu się od kogo należy, chce sobie prócz tego utworzyć szczegółowy i jasny pogląd na cały stan swego majątku w lokowanych kapitałach, w gotówce, w towarowych zapasach, wexlach, kredytowych papierach i t. p. Przy pomocy podwójnéj buchhalteryi może w każdéj chwili rozpatrzéć się we wszystkich zmianach każdéj składowéj części swego mienia i przekonać o ile zyskuje albo traci w ogóle, lub w którejkolwiek z oddzielnych gałęzi swego interesu.

Wydana przed dwoma laty książeczka

traktująca o pojedynczéj i podwójnéj buchalieryi nie zwróciła na siebie dostatecznéj uwagi zapewne z przyczyny drobnego broszurowego rozmiaru. Te szczupłe ramy stanowią jednak pod pewnym względem dodatnią stronę książki, która nie zrażając czytelnika obszernością i pomijając niektóre szczegóły, daje wszakże treściwy obraz zasad i form utrzymywania książek rachunkowych. Wprawdzie dla praktyki bardziéj złożonéj, podane tutaj wskazówki, nie byłyby dość wyczerpującemi, ale wiadomo, że większe domy handlowe z szerszem rozgałęzieniem interesów, mają zwykle specyjalnych buchhalterów, dla których potrzeba teoretycznego podręcznika, mniéj jest naglącą. Inna rzecz w mniejszych handlach i gospodarstwach wiejskich lub domowych—tam nieporządek w rachunkach jest rzeczą powszednią, a to tak z braku poczucia potrzeby akuratności, jako téż bardzo często i z nieumiejętności prowadzenia książek. Otóż broszura, o któréj mowa, zaradza téj drugiéj przyczynie, tłomacząc zasady i podając wzory książek rachunkowych, a mianowicie: memoryjału, księgi głównéj, kassowéj, towarowéj i t. p. Rzecz przedstawiona jest przystępnie, treściwie i jasno, uważamy więc ten krótki podręcznik za bardzo pożyteczny, zarówno dla chcących zapoznać się z buchhalteryją podwójną, jak i dla tych, którym dobrze zrozumiana pojedyncza wystarczyć może. *J. M. K.*

## ROZMAITOŚCI.

Dr. F. Roemer znakomity uczony węgierski, wydając dzieło **„O strojach węgierskich i polskich"**, odwołuje się do badaczy naszych o pomoc, zwłaszcza co do strojów z XIII i XIV wieku. Sądzimy że pomieszczone przed kilkunastu laty w Tygodniku Illustrowanym, rysunki Julijana Kossaka, pod ogólnym napisem: **„Dawne ubiory i uzbrojenia"**, mogłyby mu posłużyć za obfity i szacowny materyjał.

* * *

We Lwowie zaczął wychodzić tygodnik polityczny, naukowy i literacki p. t. **„Przegląd powszechny"**.

* * *

Znany chlubnie kompozytor, artysta muzyk z Poznania p. **Michał Hertz** powołany został na professora do niemieckiéj wokalnéj akademii muzycznéj w Berlinie,—zaś p. **Ludwik Marek** kompozytor utalentowany i fortepianista występował niedawno z powodzeniem w Peszcie.

* * *

**Panteon słowiański**, w języku czeskim p. t. „Slavir" wychodzi obecnie w Pradze zeszytami, nakładem Bartela. Piérwszy zeszyt zawiera krótkie bijografije dr. Franciszka Palackiego, K. Hawliczka, Jungmana i Karola Sevetza. Do każdej bijografii dołączony jest portret.

* * *

Panna Wasilewska znana z prac literatury krajowéj dotyczących, wystąpiła we Lwowie z odczytem **„O dwu kierunkach w wychowaniu"**.

* * *

**Muzeum hr. Dzieduszyckiego** we Lwowie zostanie niezadługo otwartem do powszechnego użytku. Będzie to zbiór geologiczny, etnograficzny, zoologiczny i botaniczny niezmiernéj wartości.

* * *

Hr. Aleks. Szembek wysłał do gabinetu archeologicznego przy Uniw., Jagiel. w Krakowie **popielnice, oraz złomki bronzowe i żelazne** wykopane w Siemianowicach w Ostrzeszowskiem—zaś hr. M. Sołtan darował **bronzowe ozdoby** znalezione w okolicach Oliwy.

* * *

Dr. Ludwik Léger prof. literatury słowiańskiej w Paryżu, odebrał od rządu francuskiego polecenie odbycia **podróży naukowej po Rosyi**, gdzie ma śledzić za postępem nauk historycznych i etnograficznych, mianowicie zaś archeologii słowiańskiej.

* * *

**Exkomunika narodowa.** Dziennik czeski „Swoboda" zamieścił następującą odezwę: Dr. F. L. Chleborad, dyrektor stowarzyszenia „Slavia" sprzedał swoją posiadłość Zampach nieprzyjaciołom narodu czeskiego właśnie w najważniejszej dobie kiedy przy wyborach jeden głos mógł zaważyć na szali. Naród więc czeski nie zna odtąd Dra Chleborada; znać go nie śmie, niechcąc być własnym wrogiem. Dr. F. K. Chleborad—samobójca majestatu narodowego — wykreślony jest z rzędu żyjących dla sprawy narodowej i społecznej."

* * *

Młodzież z Księstwa Poznańskiego przebywająca w Poznaniu złożyła podczas wspólnego obiadu na wezwanie Maksymilijana hr. Mielżyńskiego około 2300 talarów **na cele oświaty ludowej.** Nowy ten dowód ofiarności i poczuwania się do obowiązków obywatelskich wielkopolskiej młodzieży zasługuje na publiczne uznanie.

* * *

W marcu r. b, p. Stan. Sobieski, rozpoczął we Lwowie wydatnictwo **„Biblijoteki pedagogicznej i dydaktycznej."** Co miesiąc wychodzić będzie zeszyt przynajmniej 5-io arkuszowy. Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. reń. 5 centów. Główny skład w księgarni Seytarfa i Czajkowskiego we Lwowie.

* * *

W jeziorze Łeptowskiem niedaleko miasta Kieśliny na Pomorzu odkryto **budowle nawodne na palach**.

* * *

Z tegorocznym Zjazdem Towarzystwa Pedagogicznego w Tarnowie będzie połączona **wystawa rzeczy szkół ludowych.** Przy tej wystawie Dr. Nowakowski postanowił zebrać i urządzić swoim kosztem elementarza całego świata (będą tam polskie. niemieckie, francuskie, włoskie, angielskie i t. d).

* * *

Słyszeliśmy że Kraszewski wydaje obecnie we Lwowie nowe dzieło treści historyczno-obyczajowej p. t. **„Sto lat (1771—1872)"**.

* * *

Z Charkowa donoszą do „St. Petersb. Wiedom." **o oryginalnym i pouczającym procesie.** Dwóch 15-to letnich chłopców, jeden uczeń liceum Katkowa, drugi gimnazyjum, stawieni zostali przed sądem jako obwinieni o zamordowanie woźnicy. Pierwszy z nich nazwiskiem Połozów, miał moralną przewagę nad drugim, Edelbergiem, który pod jego wpływem pozostawał. Połozów marzył zawsze o niebezpiecznych wyprawach, o utworzeniu bandy rozbójników w lasach, o przesiedleniu do Europy czerwonoskórnych Indyjan, i chorobliwe te mrzonki dziecinnéj imaginacyi, podniecane jeszcze być może czytaniem niestosownych książek, pchnęły na występną drogę dwu tych malców, którzy uzbroiwszy się i kazawszy zawieść do lasu, zaczęli swą romantyczną karyjerę od zamordowania woźnicy, i zabrania znajdujących się przy nim 50 kopiejek. Drugą znów ujemną stroną procesu jest niedostateczne zrozumienie przez sędziów przysięgłych prawa, czego dowodzi wyrok uniewinniający. Mniemają oni, jak się zdaje, i nie bez słuszności, że część winy oskarżonych spada tu i na rodzinę i na społeczność; w każdym atoli razie zupełne uniewinnienie bez względu na ich przyznanie i obowiązujące prawo, jest zbyt rażące.

## ZAGADNIENIA.

Rozwiązanie ostatniego zagadnienia nadesłała pierwsza panna *Stanisława Rymkiewicz*. Osoba stojąca w kole nie może dotrzymać słowa, gdyż zabawa musiałaby trwać cały tydzień bez przerwy.

## Od Redakcyi.

Opiekun Domowy wychodzić będzie nadal w tym samym zakresie i kierunku, o ile takowy w kilkunastu wyszłych pod naszą redakcyją numerach zdołaliśmy rozwinąć i wykazać. Pomimo najgorszych materyjalnych warunków w jakich znaleźliśmy pismo, postanowiliśmy nie szczędzić pracy i kosztów — w głębokiem przeświadczeniu o potrzebie organu, któryby dotykając najbliżéj nas obchodzących spraw rodziny i społeczeństwa, umiał obok postępowéj dążności, uszanować racyjonalnie pojętą tradycyją i był jednocześnie ogniwem wiążącem w pracy dwa następujące po sobie pokolenia, wspólnością zadań i celów. Komitet Redakcyjny dołoży wszelkich starań, ażeby pismo nie tylko ożywić i poczytniejszem uczynić—ale zarazem nadać mu trwałą, rzeczywistą wartość. Wzrastająca liczba prenumeratorów, utwierdza nas w przekonaniu, że praca nasza może się stać pożyteczną i że liczne ulepszenia, jakie w myśl przyjętego rodzinno-pedagogicznego kierunku, tak w samem piśmie, jak i w szeregu lżejszych i poważniejszych wydawnictw przeprowadzić zamierzamy — zyskają, jak o tem nie wątpimy, gorące poparcie czytelników, zgodnie z nami pojmujących ważność zadań, którym postanowiliśmy służyć rozważnie a wytrwale.

Prenumerata Opiekuna Domowego wynosi:

*W Warszawie:*

Kwartalnie: . . **Kop. 75**
Miesięcznie: . . „ **25**

*Na prowincyi:*

Kwartalnie: . . **Rs. 1 kop. 20**

**W Redakcyi naszéj złożono Rs. 4 na rzecz Rodziny ś. p. Stanisława Moniuszki.**

Дозволено Цензурою. —W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Wydawca. Wacław Szaniawski. Redaktor, Henryk Perzyński.

Patrz Dodatek.